

Tylko do użytku niekomercyjnego

**Damon Runyon**  
**Ciśnienie krwi**  
**(Blood Pressure)**

Gdzieś o wpół do północy ze środy na czwartek stoję sobie na skrzyżowaniu siódmej alei z czterdziestą ósmą ulicą i rozmyślam nad swoim ciśnieniem krwi, którego trendów i notowań nie śledzę, przynajmniej jakoś tak dotąd.

Między życiem a prawdą, dzisiejszego dnia pierwszy raz słyszę, że w ogóle siedzi we mnie taka ryzykowna egzotyka. Mianowicie po południu zachodzę do doktora Brennana z żołądkiem, a ten zawija mi ramię w jakąś dziwną dmuchaną onucę i zaraz mówi, że ciśnienie mam wygięte w koci grzbiet i dlatego on jako lekarz stanowczo sugeruje co następuje: powinienem pilnie baczyć na to, czym się żywię, i unikać nadmiernego wzburzenia — wszystko, rzecz jasna, pod groźbą, że dzień ów przyjdzie jak złodziej i wykorkuję zniecka.

– Człowiek o pana nerwowości, z ciśnieniem w szpic jak as pikowy, musi unikać stresu – powiada doktor Brennan – Należy się dziesiątka.

I cóż tu poczynać, stoję sobie i myślę, że unikanie wzburzenia na przecięciu tego miasta i tych czasów jest nader trudne. Poza tym chcę z powrotem moje dziesięć tyści-tycich, żeby postawić jutro na Promyczek podczas czwartej gonitwy w Pimlico, gdy wtem podnoszę wzrok i ktoś to wyrasta przede mną jeśli nie Ryży Charlie.

Możecie teraz założyć się o roczny zbiór kawy na Sumatrze, że mając choćby odczucie przecucia, że Ryży Charlie zmierza w mój kierunek, natychmiast wyniosę się hen, precz a nawet dalej. Otóż żaden mieszkaniec tego miasta nie chce pchać jednego wózka z Ryżym Charliem — zasadniczo dlatego, że gość zalicza się do twardych drani, twardszego wręcz trudno w świecie znaleźć. Ma obszerną posturę, dwie znaczne i ciężkie łapy, a do tego wredny charakter, który pozwala mu bez skrępowania wyłączać bliźnich z rzeczywistości, a wyłączonych jeszcze traktować obcasem w warg sploty: wystarczy, że go najdzie odpowiedni nastrój.

Tak w ogóle i szczególe, drabów przekroju Ryżego Charliego nazywa się odźwiernymi, bo wszyscy wiedzą, że Ryży często nosi klamkę za pazuchą, a jeśli uzna, że cudzy kapelusz jest strzała warty — gość naprawdę ma coś przeciwko kapeluszom — zaraz otwiera tą klamką innym drzwi na tamten świat. Z czystego trup-rachunku wynika, że Ryży Charlie sprzedaje kulkę wielu mieszkańcom tego miasta ludnego, a paru następnym nie sprzedaje kulki, tylko nadziewa ich na swój wrzeszczot czyli nóż. Jeśli więc Ryży Charlie nie siedzi w kojcu, to tylko dlatego, że właśnie z niego wychodzi, a prawo nie nadaża z wymysleniem, za co znowu go przymknąć.

Ale cóż, pierwsze odczucie przecucia, że Ryży Charlie jest gdzieś obok tuż, nadchodzi kiedy słyszę: „No, no, no, kogo my tu mamy?”

Potem Ryży Charlie chwyta mnie za kołnierz, co rozwiewa moje marzenia o nawiewaniu.

– Czołem, Charlie – mówię nader radośnie – Jak ci się powodzi?

– Do przerwy remis – odpowiada Ryży – Swoją drogą, dobrze cię widzieć, bo właśnie szukam towarzystwa. Ostatnio trzy dni ganiam po Filadelfii za robotą.

– Mam wiarę i nadzieję, Charlie, że Delfia przyniesie ci szczęście — mówię, chociaż ta wiadomość porusza mi nerw czy dwa, bo przymiętnie czytam gazety i mam z nich pewne pojęcie, na czym polega robota Ryżego w Delfii. Nie dalej jak wczoraj jest mały kawałek dziennikarstwa stamtąd, który opisuje jak to Gus Smallwood pseudonim Ponuras, bardzo duży kręcibiorca z branży alkoholowej, połyka kilka pestek przed swoim mieszkaniem.

Dla zupełnej jasności: nie wiem, czy to akurat Ryży Charlie szpikuje Ponurasa ołowiem, ale, fakt do faktu, gość jest wtedy w Filadelfii. Ja naprawdę znam podstawy tabliczki dodawania. Przecież sytuacja całkiem na jedno wyjdzie, jeżeli ktoś napadnie na bank w Cleveland Ohio a Ryży Charlie będzie akurat wtedy w Cleveland Ohio albo gdzieś w okolicy. Tak więc robię się nerwowo, a ciśnienie rośnie mi z każdą sekundą.

– Ile masz przy sobie? — stwierdza Ryży Charlie — Jestem splukany jak ta rynna.

– Same groszówki i nic poza, Charlie — mówię — Dzisiaj wydaję na lekarza dziesięć dolców i w zamian dowiaduję się, że mam bardzo złe ciśnienie krwi. Ale, rzecz jasna, zabierz sobie resztę.

– To kiepsko — odpowiada Ryży Charlie — Gościom o pewnej klasie, takim jak ty i ja, same groszaki nie stykną. Wiesz co, pójdziemy do szachrajni Nathana Detroit i wyciągniemy ze stołu trochę forsy.

Ja muszę teraz zrobić wyznanie: ja naprawdę nie mam takiego pragnienia, żeby iść do szachrajni Nathana Detroit, a nawet jeśli mam, to nie z Ryżym Charliem przy boku. Otóż czasami — znaczy, w szachrajniach częściej niż czasami — człowieka ocenia się po towarzystwie, z jakim on przychodzi, a Ryży Charlie jakoś tak podpada sobą pod definicję złego towarzystwa. Poza tym kości nie rodzą procentów bez zacieru na wejście, którego nie posiadam ani aktualnie ani wentalnie. Ba, sprawa ma to przysłowiowe szersze dno: przy posiadaniu wentalnym nie żadne kości leżą mi na myślach, tylko Promyczek w czwartej gonitwie, a może i powrót z forszą do domu i miesięczne koszty przetrzymania, na ten przykład czynsz.

Do tego wszystkiego pamiętam słowa doktora Brennana, żeby unikać wzburzenia, a wiem, że Ryży Charlie plus szachrajnia Nathana Detroit jak nic równa się wzburzenie i skok ciśnienia w górę, od którego wykorkuję zniecka. W rzeczy sumie, czuję, że ciśnienie już skacze mi w środku więcej niż ciut, ale, rzecz jasna, nie zamierzam dawać Ryżemu Charliemu argumentu do łapska, więc idziemy razem do szachrajni Nathana Detroit.

Tej nocy szachrajnia mieści się za garażem na pięćdziesiątej drugiej ulicy, chociaż czasami cumuje na zapleczu restauracji przy czterdziestej siódmej albo na tyłach sklepu z cygarami przy czterdziestej czwartej. W rzeczy sumie, ona może być w dowolnym punkcie czasoprzestrzeni miejskiej, ponieważ co noc zmienia położenie, żeby gliniarze nie mogli jej znaleźć. Sens stacjonarnej szachrajni tak jakby mija się z sensem.

Teraz tak — skoro Nathan Detroit rozkłada swoją szachrajnię na szukaj sobie zdrów, każdy kto chce skorzystać z jego usług, musi wpierw zapytać właściwego człowieka o właściwy adres. Jednak ten adres znają prawie wszyscy mieszkańcy Broadwayu, ponieważ ludzie Nathana Detroit przemierzają aleje, ulice a nawet zaułki ciasne, szerząc odpowiedni azymut i hasło na bal.

I właśnie dlatego w samochodzie przed garażem na pięćdziesiątej drugiej siedzi niejaki Karczysław Befszyk<sup>1</sup>. Gość przekazuje nam szeptem hasło, „Kansas City”. Okazuje się jednak, że nie będziemy potrzebować żadnego biletu wizytowego. Kiedy pukamy w drzwi na szczycie schodów, Johnny Sztaba, furtian o zastygłym obliczu<sup>2</sup>, wзира przez judasz i starcza mu sam widok Ryżego Charliego, żeby wpuścić nas do środka. Robi to wprawdzie z rycynowym uśmiechem na twarzy, ale Ryżemu naprawdę nikt nie każe zbyt długo czekać na ulicy.

Jest to bardzo brudna i zadymiona nora za garażem, a za miejsce do gry służy stary stół do bilarda. Wokół stołu tłoczy się najgrubszy kaliber tego miasta, bandyta przy bandycie w tak zwartym kolisku, że igły młotem między nich nie wbijesz. Są wszyscy, bo w dzisiejszym dniu i u najbliższych sąsiedów tego dnia forsa płynie i kwitnie i wielu obywateli przeżywa prosperitę. Dodam od siebie, że wokół stołu znajduje się mnóstwo tęgich drani, a paru spośród tych typów nie będzie mieć jakiejś nadzwyczajnej myślenicy, kiedy strzelą ci w głowę albo w brzuch.

Tak w ogóle i szczególe, widząc takie indywidua jak Harry Koń z Brooklynu, Sam Śpioch Levinsky czy Odludek Louis z Harlemu, czuję, że to miejsce ma zły wpływ na moje ciśnienie. Są to naprawdę twardzi chłopcy i każdy mieszkaniec miasta o tym wie.

Ale no cóż, oni po prostu tam są, sklejeni razem z Dżekiem Grekiem, Zwalistym Nigiem, Siwym Johnem, Okay Okunem i innymi szychami. Wszyscy mają w rękach wielkie, zmiętoszone bilety spizarki narodowej i przerzucają te bilety tam i nazad, jak bezwartościowe świstki papieru.

Na zewnątrz zwartego kręgu grubych ryb stoi drobnica, tłum pomniejszych cwaniaczków, którzy próbują znaleźć jakąś lukę pomiędzy elitą, wsunąć tam szybko pięści i dorzucić swój zakład. Są też między nimi goście, których nazywa się bimbrowymi, bo kiedy spłukasz się przy stole chętnie pożyczą ci zacier do dalszej gry — oczywiście zacier jest na solidny procent i pod zastaw zegarków, pierścionków, spinek od mankietów et cetera et afera.

---

<sup>1</sup> Oryg, Jack the Beefer – tu pofolgowałem nieco fantazji, czyniąc tę epizodyczną postać przybyszem z jakiegoś słowiańskiego kraju, którego oryginalne imię uległo zniekształceniu, dając pojęcie o mięsistości właściciela, być może też bliskiej słowu „beefcake” – atletycznemu przystojniakowi.

<sup>2</sup> Solid John: z wielu znaczeń solid wybieram raczej zakrzepły, zmieniony w ciało stałe – jako aluzję do twarzy bez mimiki, co by pasowało do furtiana w szulerni. Z drugiej strony ta funkcja podsunęła mi wyraz „sztaba”, jako aluzji do roli odzwiernego i czegoś sztywnego i przyciężkiego.

Tak jak mówię, kiedy wchodzimy do środka przy stole znajdzie się miejsce może dla jednego chudzielca. Ale Ryży Charlie zaraz puszcza w powietrze donośne witam wszystkich i ci wszy-scy rozglądają się wokoło, a w następnej sekundzie przy stole robi się dosyć przestrzeni za-równo dla Ryżego, jak i dla mnie. W tym nagłym poszerzeniu się przestrzeni jest naprawdę jakaś magia, która wcale nie działa zanim nasza dwójka się pojawia.

— Który odpala? — pyta Ryży Charlie rozglądając się po okolicy.

— No jak Charlie, przecież że ty — mówi Zwalisty Nig, który trzyma kij krupiera. A mówi to z pośpiechem i zaraz podaje Ryżemu parę kości, chociaż potem słyszę, że kiedy podchodzimy do stołu jego kumpel jest akurat w najsamszym środku partii i próbuje wyrzucić dziesiątkę. Wszyscy są bardzo cicho i tylko patrzą na Ryżego Charliego. Na mnie nikt nie zwraca uwagi, bo każdy wie, że jestem tu tylko człowiekiem na dokrętkę i nie mam żadnych głębszych związków z Ryżym Charliem. Chociaż wiecie, raz Harry Koń spogląda na mnie w sposób ewidentnie szkodliwy dla ciśnienia mojego, cudzego albo jeszcze innego.

No więc Ryży Charlie bierze kości i zaraz obraca się w kierunku jakiegoś mizeraka w melo-niku, który stoi tuż obok i wręcz się kuli, żeby Charlie go przeoczył. Ale ten zabiera mikrusowi z głowy jego kapelusik, grzechocze kośćmi w ręce, wrzuca je do kapelusika i mówi „Hu!”, jak każdy hazardzista przed rzutem. Potem zagląda w głębię melonika i ogłasza „dziesiąć”, chociaż nie daje nikomu tam zaglądnąć, nawet mnie. A skoro tak jest, diabli wiedzą, czy Charlie wyrzuca tę dziesiątkę, czy może coś innego.

Ale oczywiście nikt nie chce zgłosić wątpliwości o dziesiątkę, bo jest prawdopodobieństwo, że Ryży Charlie pomyśli, że nazywa się go krętaczem, a on raczej tego nie lubi.

Musicie wiedzieć, że u Nathana Detroit gra się w kości systemem jeden na jeden, chociaż niektórzy nazywają ten system wuwu, od pierwszych liter zwrotu wchodzisz albo wymiękasz. A to dlatego, że nie obstawia się w nim przeciw bankowi ani szulerni, tylko przeciwko sobie nawzajem — całkiem jak dwóch ludzi, którzy się zeszli i chcą się o coś założyć. W ten sposób Nathan Detroit nie musi użerać się z profesjonalnym stołem ani obsługą całego tego interesu, jak prawdziwe kasyna. Wystarczy, że skombinuje kości i miejsce do gry, żeby brać swój procent, który wcale nie jest zły.

Przy takiej rozgrywce prawdziwa zabawa zaczyna się dopiero w chwili, kiedy rzucającemu brakuje pewnej liczby oczek i wszyscy dookoła zaczynają robić zakłady dorzuci czy nie.

Oczywiście szanse, że gość nie zrobi dziesiątki parą kostek przed wyrzuceniem siódemki są na całym świecie identyczne i wynoszą dwa do jednego.

Kiedy więc Ryży Charlie stwierdza, że w meloniku ma dziesiątkę, całe otoczenie stawia język na kotwicy. Charlie rozgląda się wtedy wokół stołu i dostrzega na drugim końcu Brahama Żydka<sup>3</sup>, chociaż ten bardzo stara się skurczyć pod jego spojrzeniem.

– Wykładam pięć stów – mówi Ryży Charlie – a ty, Braham, przyjmujesz.

To oznacza, że każe tamtemu postawić tysiąc zielonych przeciw pięciuset, że nie wyrzuci dziesiątki.

Otóż Braham Żydek to zasadniczo drobny cwaniaczek i bardziej bimbrowy niż gracz. Jedyne powód dla którego akurat znajduje się przy stole jest taki, że podchodzi do Dżeka Greka, żeby pożyczyć mu trochę zacieru. W normalnych okolicznościach szulerki szansa, że Braham postawi tysiąc tyci-tycich przeciw pięciuset jest taka sama, jak prawdopodobieństwo, że wpłaci całą tę forszę na fundusz Armii Zbawienia, czyli mniejsza niż zero. Bez okularów widać, że biedakowi przez myśl nie przejdzie zrobienie takiego zakładu i kiedy Ryży Charlie go przymusza, zaczyna drżeć od uszu do pięty.

Z kręgu przy stole dobiega głucha cisza, więc Ryży Charlie znów grzechocze kośćmi w łapsku, wrzuca je do kapelusika i mówi „Ha!”. Wnętrza kapelusika, rzecz jasna, nie pozwala oglądać nikomu, za to zerka tam osobiście i stwierdza: „Pięć!”. Potem jeszcze raz grzechocze kośćmi, wrzuca je do kapelusika, mówi „Ha!”, zerka do wnętrza i stwierdza: „Osiem!”. Zaczynam pocić się ze strachu, że tak naprawdę w kapelusiku Ryżego Charliego siedzi siódemka i gość przegrywa zakład, a przecież dobrze wiem, że nie trzyma przy sobie pięciu stów na wypłatę dla Brahama Żydka. Chociaż, z drugiej strony, jeszcze lepiej wiem, że Ryży Charlie nie ma zamiaru nikomu płacić, ilekolwiek chowa w kapelusiku.

Przy następnym ciepnięciu, Ryży Charlie krzyczy „Dola!”, co oznacza, że zrobił dziesiątkę, chociaż tę dychę tylko on sam raczy widzieć. No i wyciąga rękę do Brahama Żydka, który powoli, powoli jak żółw ociężale podaje mu tłusty bilet spizarki narodowej. W całym swoim życiu nie widzę smutniejszego człowieka, niż Braham rozstający się ze swoim zacierem. Ale jeżeli nawet świta mu myśl, żeby poprosić Ryżego Charliego o wgląd w kości, nie puszcza pary z ust. Pozostali przyjmują identyczną strategię, bo przecież widzą, że Ryży Charlie nie chce się

---

<sup>3</sup> Oryg. Louis Jew.

obnosić z tą dziesiątką i raczej nie pozwoli nikomu podważać swojej prawdomówności, zwłaszcza że chodzi o taki mały numer jak dziesięć.

– Panowie – oznajmia Ryży wsuwając banknot do kieszeni – Jeżeli o mnie chodzi, na dziś szlus. Po czym oddaje melonik tamtemu kurdupelkowi i pokazuje, żebym się zbierał. Robię to nader ochoczo, ponieważ zalegająca w szachrajni cisza przyciąga mój żołądek raz do sufitu raz do podłogi i wiem, że to zjawisko ma niekorzystny wpływ na moje ciśnienie krwi. Pomiędzy naszym wejściem a wyjściem nikomu sekundnik nie drgnie na cyferblacie i to jest naprawdę zaskakujące, jak nerwogenny bywa pobyt w dużym tłumie, który głucho milczy — zwłaszcza jeżeli widać, że w danej miejscówce zaraz może się zrobić gorąco. Dopiero kiedy jesteśmy przy samych drzwiach, słyszymy czyjś cienki głosik. A któż to się odzywa? Ano nikt tylko Braham Żydek, który pyta Ryżego Charliego w ten deseń:

– Masz twarde kości czy miękkie?

Tu wszyscy zaczynają się śmiać, a my wychodzimy. I chociaż potem nad tym myślę, nigdy już się nie dowiem, czy Charlie robi tę dziesiątkę wyrzucając sześć i cztery albo dwie piątki, co się nazywa twardymi kośćmi.

W danej chwili karmię nadzieję, że uwolnię się od Ryżego Charliego i pójdę do domu. Widzę przecież, że typ ma jak najgorszy wpływ na ciśnienie krwi — a poza tym niektórzy ludzie mogą coś o mnie pomyśleć, jeżeli będę się go dalej trzymać. Ale kiedy sugeruję Charliemu rozstanie, wydaje się czegoś dotknięty.

– No jak? – mówi Ryży Charlie – To taki z ciebie równiak, że chcesz opuścić kolegę, kiedy dopiero zaczynamy zabawę? Nie, stary. Zostajesz ze mną, bo lubię towarzystwo i właśnie uderzamy do Izziego Prosiaka<sup>4</sup>, żeby zagrać w faraona.

Ja muszę teraz zrobić wyznanie: ja naprawdę nie mam takiego pragnienia, żeby iść do Izziego Prosiaka. Raz, że miejscówka jest daleko, na śródmieściu. Dwa, nie chcę grać w faraona, bo akurat tej gry nigdy nie ogarniam. Trzy, pamiętam, że doktor Brennan sugeruje co następuje: stanowczo mam uciąć sobie drzemkę od czasu do czasu. Ale, z czwartej strony patrząc, ranienie uczuć Ryżego Charliego będzie raczej bezużytecznym pomysłem, zwłaszcza że jeśli nie pójdę, gość naprawdę może mi zrobić trwały wyszczerbek na zdrowiu.

---

<sup>4</sup> Oryg. Ikey the Pig. Ike to skrót od Issac albo Izajasz. Wybór wariantu podyktowany jest względami prozodii.

Tak więc Ryży Charlie wzywa taksówkę i uderzamy na śródmieście, do Izziego Prosiaka. Taksiarz pogania swoją dryndę bez miłosierdzia i moje ciśnienie ze stanu ostrzegawczego przechodzi w stan alarmowy, chociaż na Charliem prędkość nie robi żadnego wrażenia. Wreszcie wychylam głowę przez szybę i proszę rączego taksjarza, żeby dał sobie z gazem na wstrzymanie, bo chcę dojechać na miejsce w jednym kawałku. Ale gdzie tam, koleś dalej wbija rumakowi ostrogi.

Jesteśmy na rogu dziewiętnastej i Broadwayu, kiedy ni z tego ni z owego Ryży Charlie krzyczy na taksjarza, żeby na chwilę stanął, co tamten robi. Wtedy Charlie wychodzi z dryndy i odzywa się mniej więcej tak:

– Kiedy klient cię prosi, żebyś dał sobie z gazem na wstrzymanie, masz być miły i jechać grzecznie, rozumiemy się? O, tak.

Mówiąc „o, tak” Ryży Charlie bierze zamach i podbródkowym przesyła nieszczęśnika z fotela prosto na ulicę. Potem zajmuje jego miejsce za kółkiem i zaraz jedziemy dalej, zostawiając gościa rozciągniętego na asfalcie. Otóż dawno temu Ryży zarabia na życie jako dryndziarz, ale to się dzieje zanim gliniarzom zaczyna świtać, że nie zawsze dostarcza klientów pod właściwy adres — zwłaszcza tych klientów, którzy są po paru głębszych. Kierowcą Charlie jest niezłym, aczkolwiek ma tendencję do patrzenia przed siebie i absolutnie nigdzie indziej.

Osobiście mówiąc, ja nie mam takiego pragnienia, żeby jechać z Ryżym Charliem taksówką i to nie mam bez względu na okoliczności — ale już szczególnie w okolicznościach, kiedy on prowadzi, bo pędzi ile fabryka daje. Zatrzymuje wóz przecznicę od szachrajni Izziego Prosiaka i mówi, że zostawiamy tam dryndę, a niech sobie stoi aż ktoś ją znajdzie i odstawi właścicielowi. Ale nie zdążamy się oddalić, bo nagle zjawia się jakiś mundurowiec na służbie i zaczyna nawijać o zakazie postoju taksówek bez kierowcy w środku.

I jakże by inaczej, Ryży Charlie nie znosi gliniarzy udzielających mu porad, więc rozgląda się za ewentualnymi świadkami a potem bierze zamach, grzmoci funkcjonariusza podbródkowym i tamten nakrywa się nogami jak niemowlę na pleckach w łóżeczku. Cóż tu dodać coź ujmować — Ryży Charlie jest prawdziwym elektrykiem ringu, bo zawsze umie trafić człowieka prosto w wyłącznik światła. Kiedy gliniarz odpływa, Ryży chwytą mnie za ramię i zaczyna ciągnąć w boczną uliczkę, tak że po przebiegnięciu kwartału wbijamy do Izziego Prosiaka.



Samo miejsce nazywają luksorem, bo wielu znaczących obywateli z sąsiedztwa przychodzi tam nocą i gra w faraona. Na widok Ryżego Charliego nikt ze zgromadzonych nie wydaje się reagować przesadnym entuzjazmem, chociaż Izziemu Prosiakowi wymyka się, że jest na śmierć uweselony z naszej wizyty. Izzy jest niskim typkiem o tłustej szyi. Można by z powodzeniem ozdobić nim noworoczny stół — oczywiście po oprawieniu i z jabłkiem wciśniętym między zęby. Ale wydaje się, że Prosiak i Ryży Charlie to starzy kumple i nawet od czasu do czasu mają o sobie nawzajem dobre mniemanie.

Jakkolwiek aczkolwiek widzę, że Izzy nie jest tak do końca uweselony, kiedy odkrywa, że Charlie wpadł do luksoru, żeby grać. Wprawdzie błyska od razu banknotem i mówi, że przez wzgląd na stare dobre czasy nie zaszkodzi mu stracić odrobiny zacieru, ale na mój rozum Prosiak niezbyt wierzy, że położy ręce na tym banknocie — zwłaszcza, że Ryży Charlie wkłada go do kieszeni i już nie wyjmuje, mimo że z miejsca zaczyna przegrywać.

O piątej nad ranem Charlie jest do tyłu o sto trzydzieści kawałków, a to naprawdę kupa szmalu, nawet dla ostrego gracza. Oczywiście Izzy Prosiak wie, że nie ma szans, żeby wyciągnąć od Ryżego sto dolców trzydzieści centów, nie wspominając o stu trzydziestu tysiącach. Do tego czasu wszyscy dawno się zmywają. Prosiak chce zamykać lokal i jest w wielkiej chęci przyjąć od Charliego kwit na milion, żeby ten sobie poszedł. Sęk jednak w tym, że jeśli gracz wtapia w faraona, ma prawo dostać procent od przegranej kwoty. Izzy widzi, że nawet z kwitem w łapie Ryży Charlie nie zrezygnuje z tego procentu i jak nic puści mu interes z torbami.

Żeby ciąg dalszy nabrał rumieńców, w takich okolicznościach Charlie bierze poprawkę na przyjaźń z Izzym i odmawia wyjścia, przez co ten musi znaleźć inne wyjście. Sprowadza zawodowego kanciarza o ksywie Muminek Goldberg<sup>5</sup>, który wchodzi do gry i oszukując na korzyść Charliego bardzo szybko wyprowadza sprawę na prostą.

Mnie gra wciąga raczej słabo, więc znajduję krzesło w rogu i przez parę mrugnięć powieki zażywam snu. Odpoczynek musi nieźle działać na moje ciśnienie, bo wcale go nie czuję, kiedy razem z Ryżym Charliem wychodzimy od Izziego Prosiaka. Myślę, że nareszcie odzyskam wolność i pójdę do domu się odespać. Niestety, chociaż jest szósta rano i słońce dawno na

---

<sup>5</sup> Oryg. Dopey Goldberg – dopey to ktoś śniący albo upośledzony umysłowo. Stąd wzięłem ksywę Muminek, od potocznej nazwy nieszczęśliwych dzieci. Postać ta ma pozorny wygląd nieszkodliwego matołka, dzięki któremu łatwo oszukuje ludzi w karty. Inne warianty: Głupi Jasio Goldberg, Matołek Goldberg, Niewiniątko Goldberg, Aniołeczek Goldberg.

pierwszej zmianie, Ryżego Charliego wciąż rozpira energia. Nie ma dosyć wrażeń, tylko chce iść do Cyganerii.

Ja muszę teraz zrobić wyznanie: ten pomysł znowu podkręca mi ciśnienie, bo Cyganeria to taka paskudna gawra, do której łanie i dżentelmenele się udają, kiedy dosłownie wszystkie inne lokale w mieście są zamknięte. Prowadzi ten przybytek ciemny typ o imieniu Majcher O'Halloran, który jest z okolic Greenwich Village i opinię ma naprawdę zszarpaną. Każdy dobrze wie, że u Majchra O' Hallorana nie trzeba się specjalnie starać o rozstanie z życiem. Wystarczy dowolnej nocy przyjść do Cyganerii i spokojnie pić zamówiony trunk.

Ale Ryży Charlie nalega, więc idę razem z nim. W Cyganerii witają nas ogólna buźka i spokój, nie licząc jednego hałaśliwego kąta, w którym siedzi spora klientela płci obojga w strojach wieczorowych; ci ludzie najwyraźniej lądują tam po całej nocy spędzonej w klubach. Charlie i Majcher z sentymentem wspominają dawne czasy i swoje członkostwo w gangu Hudsonskich Rozpylaczy, popijając przy tym z butelki, którą O' Halloran nosi w kieszeni, żeby przypadkiem nie pomieszać zawartości z tym, co serwuje pozostałym klientom. Wtedy zniemacka do lokalu wchodzi czwórka gliniarzy po cywilnemu.

Powiem tak: ci gliniarze są po służbie. Nie mają nic do nikogo i chcą tylko wlać w siebie kieliszek lub dwa zanim sobie pójda odsypiać robotę. Wygląda na to, że nie zwrócą uwagi na Ryżego Charliego, jeśli będzie pilnował własnego nosa, chociaż, jak to się mówi, wiedzą kto zbój i pewnie z miłą chęcią położą na nim długie łapsko sprawiedliwości jak tylko nazbierają dosyć zarzutów. W każdym razie nie podskakują. Niestety, jeśli istnieje jakieś zjawisko, którego Ryży Charlie nienawidzi, to jest nim gliniarz. Charlie świdruje tę czwórkę od pierwszej chwili, kiedy ona siada za stolikiem i wreszcie słyszę jak zadaje Majchrowi pytanie:

– Majcher, wiesz może, jaki jest najpiękniejszy widok na tym świecie?

– No jaki, Charlie?

– Czterech martwych gliniarzy ułożonych w rzędzie.

Na te słowa wysuwam się ukradkiem za drzwi, ponieważ ja nie mam takiego pragnienia, żeby wejść w kłopoty z gliniarzami, zwłaszcza z czterema gliniarzami. Widzę jeszcze, że Ryży Charlie chwyta za grubą nogę gliniarza, który usiłuje go kopnąć. Ale potem już nic nie widzę, bo wszyscy zlepiają się w kupę, łanie i lwy w strojach wieczorowych zaczynają skrzeczeć, a moje ciśnienie dobija gdzieś do miliona.

I cóż, zamiast uciekać hen precz daleko, jak każdy człowiek z rozsądkiem w mózgowicy, stoję na zewnątrz nasłuchując wieści ze środka, skąd jednak nie dobiega nic oprócz głośnego brzdęk-bach, bach-brzdęk. Nie boję się jednak, że wybuchnie strzelanina, bo o Ryżym Charliem różne rzeczy mówią, ale gość jest zbyt sprytny na pylenie do gliniarzy, uchodzące w naszym mieście za szczyt bandytyzmu. Gliniarze też nie będą pylić, bo przecież nie chcą rozgłaszać wszem i wobec, że po służbie przesiadują w takiej spelunie jak Cyganeria. Tak dochodzę do wniosku, że mord jest niehigieniczny, a w związku z tym wojna będzie toczyć się na pięście.

Koniec końców łoskot w środku cichnie. Po chwili drzwi się otwierają i wychodzi przez nie Ryży Charlie, strzepując z siebie kurz i sprawiając wrażenie nader zadowolonego. Zanim drzwi się zamykają, miga mi obraz mnóstwa ludzi rozciągniętych na podłodze. Słyszę też wrzaski łań i facetów.

– No, no – mówi Ryży Charlie – Już zaczynam sądzić, że spływasz z wiatrem i robię się na ciebie zły, a ty jednak czekasz. Chodźmy stąd, bo w środku jest taki hałas, że własnych myśli nie słychać. Pójdziemy do mnie na mieszkanie, gdzie moja kobitka zrobi nam śniadanie a potem się kimniemy. Jajka na szynce będą o tej porze jak znalazł.

Nie powiem, jajka na szynce o tej godzinie brzmią nader kusząco, ale też nie mam pragnienia, żeby iść na mieszkanie Ryżego Charliego. Osobiście mam dosyć Ryżego Charliego na długi, długi czas a już w jego życie rodzinne nie chcę wtykać połowy palca — chociaż trochę mnie dziwi, że typ najwyraźniej takie życie posiada. No, jeżeli dodam chyba i dopiszę cztery pytajniki, to może nawet kiedyś słyszę, że Charlie bierze ślub z jedną łąnią z sąsiedztwa i mieszkają w okolicach Hell's Kitchen, ale to jest jedna wielka niewiadoma. Wszyscy ludzie twierdzą, że jeśli to jest prawda, żona Charliego musi mieć życie pod psem, a w dodatku ten pies musi być kundel i to parszywy.

No więc z jednej strony nie chcę iść a z drugiej strony kiedy ktoś grzecznie prosi odmówić nie wypada, zwłaszcza mając na widoku jajko, szynkę i Ryżego Charliego, który wydaje się zdziwiony, że okazuję entuzjazmu i nie dostrzegam, jak rzadki zaszczyt mnie spotyka — przecież on mało kogo zaprasza do mieszkania. W następstwie czego dziękuję Charliemu i mówię, że nie ma rzeczy na świecie, która ucieszy mnie bardziej niż jajko na szynce, które wyjdzie spod ręki jego małżonki. W ten sposób wędrujemy wzdłuż dziesiątej alei i dochodzimy w rejon czterdziestej piątej ulicy.

Ranek ciągle jest wczesny. Ludzie właśnie otwierają sklepy a dzieci idą do szkoły z wesołym hi hi na ustach. Stare łanie wywieszają za oknami czynszówek nocną bieliznę i inne ciuchy. Ale na widok Ryżego Charliego i mnie wszyscy milkną i widzę, jaki respekt Charlie budzi w tej okolicy. Sklepikarze prędko chowają się w swoich niszach, dzieci przestają podskakiwać a zaczynają chodzić na paluszkach. Stare łanie na gwałt wciągają makówki i wielka cisza zalega nad ulicą. Naprawdę da się usłyszeć tylko stukot naszych pięt na chodniku.

Naprzeciwko sklepu stoi wóz z lodem zaprzężony w parę koni. Kiedy Ryży Charlie dostrzega te konie, chyba świta mu coś wielkiego w głowie. Przystaje i ogląda je z wielką starannością, chociaż ja widzę nic tylko konie — duże, tłuste i senne z wyglądu. Wreszcie Ryży Charlie mówi do mnie w ten deseń:

– Za młodu w prawej ręce mam kowadło i często powalam pięścią konia, jak go tylko trafię w czaszkę. I wiesz, tak sobie teraz myślę, czy ja czasem nie tracę ciosu. Tego ostatniego gliniarza muszę dwa razy poprawiać.

Następnie Charlie podchodzi do jednego z koni przy wózku, robi zamach i trafia zwierzę prosto między oczy. Chociaż bije z okrutnie bliskiej odległości, nie cofając pięści więcej niż o cztery cale, wierna szkapa pada na kolana z wyrazem istic bezbrzeżnego zdumienia. Podziwiam w życiu wielu bokserów o ciężkiej łapie — włącznie z Dempseyem i to w okresie, kiedy jeszcze potrafi przyłożyć — ale silniejszego ciosu niż Ryży Charlie wymierza temu koniowi nie oglądam jakem żyw.

Rzecz jasna woźnica wybiega na zewnątrz, cały w pianie na to, co się wyrabia z jego koniem. Z chwilą, w której dostrzega Ryżego Charliego, stygnie jednak i szybko cofa się do sklepu. Biedny koń leży na deskach, czekając aż do wyliczą i ogłoszą k.o., my zaś spokojnym krokiem odchodzimy. Po chwili docieramy pod wejście czynszówki, w której Charlie, według jego słów, mieszka. Naprzeciwko kamienicy stoi makaroniarz z ręcznym wózkiem pełnym warzyw owoców i tego i owego. Ryży Charlie przechodząc wywraca ten wózek, a makaroniarz zaczyna wrzeszczeć na cale gardło i pewnie przeklinać nas po makaroniarsku. Osobiście jestem szczęśliwy, że wreszcie trafimy na jakąś stabilną miejscówkę, bo moje ciśnienie pod wpływem Ryżego Charliego pogarsza się z każdą sekundą.

Wspinamy się na drugie piętro, Charlie otwiera drzwi wejściowe i wchodzimy do pokoju. Tam zastajemy rudowłosą łanię — jest tak drobna, że może się skryć za Fordem T bez przykucania, oczy ma jeszcze oblepione snem, a każdy płomienisty włos lata jej samopas, jak po nocy

spędzonej na sianie. Łania wydaje się naprawdę przyjemna dla oka — przynajmniej tak na pierwszy rzut mojego oka, bo akurat w jej oczach zaraz dostrzegam, że kimkolwiek ona jest, ma nader wrogie nastawienie do wszystkich wokoło.

– Cześć, cukiereczku – mówi Ryży Charlie – Będiesz tak dobra i przyrządzisz jajko na szynce dla mnie i mojego kumpla? Łazimy tu i tam, więc jesteśmy strasznie złachani.

No i się dzieje. Ta mikry ruda łania patrzy na Charliego bez słowa, stojąc na środku pokoju z jedną ręką za plecami. Nagle wyciąga tę rękę przed siebie i sami zgadnijcie, co w niej trzyma. Otóż trzyma kijaszek malucha, taką pałkę baseballową dla dzieci za parę centów. Następne, co słyszę to szask-prask i Ryży Charlie zalicza homera w ciemię.

Moja dusza chce krzyczeć z przerażenia, bo przecież naturalna kolej rzeczy będzie taka, że Charlie zatłucze babę na miejscu, a ja wpadnę w głęboką borowinę; posadzą mnie za szkockim parawanem jako świadka morderstwa, a w naszym mieście świadek czegokolwiek może sobie czekać na wyjaśnienie miesiące i lata. Ale Ryży Charlie tylko wali się na fotel bujany w rogu pokoju i trzymając się jedną ręką za głowę powtarza: „No już dobrze, słoneczko” i „Ależ nie nerwuj się tak, skarbie”. Z tego, co sobie przypominam, potem mówi: „Mamy gościa na śniadanie”. Wtedy ruda łania obraca się w mój kierunek i chociaż uśmiecham się do niej nader sympatycznie i zauważam, że ranek mamy piękny, obrzuca mnie spojrzeniem, którego nigdy nie zapomnę.

– Więc ten palant, który ciąga mi męża po nocy, to właśnie ty? – mówi i startuje do mnie, a ja startuję do drzwi. Widzę, jak rozjuszona jest małżonka Ryżego Charliego, toteż moje ciśnienie wywraca się do góry nogami. Kładę rękę na klamce i wtedy nagle coś wali mnie w makówkę — pewnie kij baseballowy, myślę potem, chociaż siedzi mi w pamięci taka mglista wizja walącego się dachu.

Nie kumam, w jaki sposób otwieram drzwi, gdyż pod kopułą mi się kręci a nogi tańczą bezładnie. Kiedy jednak potem wracam do tej sytuacji pamięcią, wydaje mi się, że z wielką szybkością przebiegam mnóstwo schodów, uderza mnie świeży tlen i jestem na powietrzu. Ale znienacka czuję inne wrażenie z tyłu głowy, coś płaszcze mnie w bulwę i z początku nawet myślę, że to ciśnienie wybiło mi przez nać. Obracam się przez plecy i łapię ostatni kadr, na którym łania Ryżego Charliego stoi obok wózka makaroniarza, chwytając różne owoce i warzywa i rzuca nimi we mnie.

Tak w ogóle i szczególe, moja łepetyna nie obrywa jabłkiem, brzoskwinia, kapustą ani brukwią ani nawet melonem miodowym. Padam od kawałka cegłówki, którą makaroniarz przyciska papierowe torebki na swój towar. Ten kawałek nabija mi tak wielkiego guza z tyłu głowy, że kiedy następnego dnia zachodzę do doktora Brennana z żołądkiem, doktorek myśli, że dostaję jakiegoś nowotwora, a ja nie wyprowadzam go z błędu.

– Aczkolwiek – stwierdza doktor Brennan mierząc mi znowu ciśnienie — teraz ma pan ciśnienie poniżej normy i wedle najlepszej wiedzy medycznej niebezpieczeństwo zostaje zażegnane. To stanowczo dowodzi, jak dobroczynny wpływ na zdrowie człowieka wywiera spokojny tryb życia. Należy się dziesiątka.

Tłum. Piotr Plichta

**Drogi Czytelniku, dokonując wpłaty na cele statutowe Fundacji umożliwiasz zakup do polskich bibliotek nowych książek. Ostateczną listę zamówionych przez nas pozycji współtworzą studenci i pracownicy naukowci. Kupujemy książki obcojęzyczne, najczęściej specjalistyczne, drogie i trudno dostępne w bibliotekach. Dzięki temu wielu studentów i pracowników naukowych mogło napisać ciekawsze prace dyplomowe i poszerzyć swoje horyzonty.**

**I ty możesz skorzystać z książek, które już przekazaliśmy bibliotekom. Ich aktualną listę i lokalizację znajdziesz w zakładce „przekazane książki” na stronie [www.fundacjaalbedo.pl](http://www.fundacjaalbedo.pl)**

**Nawet drobne datki bardzo pomagają nam w naszej misji.  
Dziękujemy za każdą przekazaną nam złotówkę!**



FUNDACJA

ALBEDO

KUPEJEMY SPECJALISTYCZNE KSIĄŻKI  
DLA POLSKICH BIBLIOTEK